



## Mieczysław Janczyszyn

Sygnatura notacji: **N0196**

Data urodzenia: **01.01.1961 r.**

Data nagrania: **czerwiec 2008 r.**

Miejsce nagrania: **plebania, Głębokie, Białoruś**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszek**

Czas nagrania: **22 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Mieczysław Janczyszyn:** Urodziłem się w Ścinawie, w województwie wrocławskim.

**Anna Pietraszek:** Ścinawa.

**Mieczysław Janczyszyn:** Ścinawa, tak. To jest od Wrocławia 60 kilometrów. 1 stycznia 1961 roku. A mieszkałem, rodzice mieszkali we Wielowsi. Jest taka parafia Wielowieś, tam też mieszkałem. Do pójścia... tam skończyłem szkołę podstawową. Później poszedłem do I Liceum Ogólnokształcącego imienia Tadeusza Kościuszki w Legnicy. Po zakończeniu którego wstąpiłem do seminarium Metropolitalnego we Wrocławiu. Zakończyłem, w 1988 byłem wyświęcony na księdza. Pracowałem 2 lata w Legnicy jako wikariusz i duszpasterz głuchoniemych. Całe seminarium zajmowałem się ludźmi niepełnosprawnymi, a szczególnie głuchoniemymi. Od dzieciństwa marzyłem o pracy w Związku Radzieckim. To było moje marzenie. Myślę, że to marzenie było jakoś tak zainicjowane księdzem proboszczem, który był w mojej parafii 23 lata. Po jakichś tam wakacjach na wschodzie, bo on był Litwinem, jest Litwinem, opowiadał jak tutaj potrzebują kapłanów. No i jakoś tam szkrab zdecydowałem, że będę kapłanem, mało kapłanem, kapłanem na wschodzie. Kiedy taka możliwość się pojawiła w 1990 roku, ksiądz kardynał Gulbinowicz pozwolił mi na wyjazd na Białoruś. 4 września, pamiętam jak dziś, z torbami, które więcej ważyły niż moje nogi mogły wytrzymać, a byłem sportowcem, więc bardzo silne miałem nogi, ale pod tym ciężarem tego wszystkiego, co ze sobą wiozłem, czyli cała zakrystia, księgi wszystkie, liturgiczne szaty, no i coś swojego, żeby mieć na wszelki słuczaj [wypadek].

**Anna Pietraszek:** To był rok?

**Mieczysław Janczyszyn:** 1990, 4 września 1990 roku. Przyjechałem do Grodna i tam miesiąc pracowałem w parafii... pobernardyńskim, w kościele tym obecnie seminaryjnym. Kiedy przyjechał ksiądz biskup Blin, mówi, jest taki tam Lepiel, Uła, no i poszliśmy razem do księdza biskupa Kondrusiewicza, że jestem gotowy na wyjazd. Dostałem błogosławieństwo, żadnych tam dokumentów, no to jedź tam i nic więcej. Nie, kielich jeszcze, bo swój kielich zostałem wcześniej na Ukrainie, bo tam też jeździłem i nie miałem swojego kielicha. Przyjechałem do Lepiela, ksiądz biskup, obecny biskup, a wtedy jeszcze ksiądz Blin, dał mi adres do paru osób, przedzwoniłem, że oni wiedzieli, kiedy przyjadę. Przyjechałem autobusem i przyszło chyba siedem, może osiem starszych kobiet z kwiatami. I do tego autobusu, w którym ja byłem. No tak pomyślałem od razu, że to po mnie. No więc, tam oni mieli jakiś tam samochód, wnuk jeden był samochodem. Te moje toboły do samochodu żeśmy włożyli i przyjechałem do takiej babci, pani Marii w Lepielu. Razem z nią mieszkaliśmy w takich dwóch pokoikach pół roku. Pierwsze takie moje wyjście w poskach kościoła, znaczy miejsce, gdzie kiedyś było kościołem. Było takie na... w kościele rosły wtedy brzozy. A ja w sutannie, idąc z torbą, w której była cała moja zakrystia, przez to miasteczko, na jednym z placyków, gromadka dzieci tak pyta się, jeden podchodzi do mnie: „A kto ty jesteś? A w co ty się ubrałeś? A może cyrk do nas przyjechał i ty bilety do cyrku będziesz sprzedawał?”. Tak że to było takie pierwsze moje przywitanie z Białorusią. Ale potem właśnie materialnie byliśmy bardzo biedni. Pierwsza brygada, która przyszła, gotowa była robić ten kościół za 100 tysięcy rubli. Ja miałem wtedy 2 tysiące rubli po miesiącu pracy. Tam jakoś tak zbierałem już. I ludzie mieli 5 tysięcy. To razem mieliśmy 7 tysięcy rubli. 100 tysięcy tylko praca, a jeszcze materiały. W tym czasie, jak już zrobiłem sobie jakiś tam mały remont, no tak przypadkowo, bo to żeśmy wszystko takim... ciekawie to wszystko się zdobywało, pięć organizacji wtedy z jednego terenu wyrzuciłem. Jeden, pamiętam, naczelnik przyszedł, mówi: „Tutaj mi na dłoni włosy wcześniej wyrosną niż ty to otrzymasz”. Ale po dwóch miesiącach przyszedł, „Chodźmy, podpisujemy, umowę zabieraj i dobra”. W przeciągu 5 lat tam już kościół był gotowy. Ksiądz kardynał Świątek poświęcił ten kościół. To pierwszy kościół w Lepielu. Drugi kościół w 1999 był poświęcony w Ule. I tam, można sobie... dla mnie to było też takie wielkie zdziwienie, bo ja tak ludziom powiedziałem: „No to kochani, przyjedzie kardynał, żeby tak troszkę kwiatów, tak gdzieś udekorować tę drogę”. A ludzie to tak po swojemu zrozumieli i cała droga, 1,5-2 kilometry drogi było usypane kwiatami. Kwiat na kwiecie, jeden dywan kwiatowy. Ksiądz kardynał, kiedy przyjechał, ponieważ przy moście tam byłem, „A jak mam jechać?”. To wyraz wdzięczności, radości tych ludzi, że ta droga prowadzi do kościoła. Kościół był spalony w 60. latach i służył jako śmietnik tam w tej Ule. Kiedy rozpoczęliśmy wnosić te wszystkie śmieci, to usypaliśmy taką górę, że... no, można powiedzieć, na nartach zimą można by zjeżdżać. Pierwszy raz, kiedy tam ksiądz biskup Świątek przyjechał na wizytację, to już kościół był oczyszczony z tych śmieci, ale jeszcze bez dachu i strzępy murów. Ja wtedy księdza biskupa witałem pod „baldachimem gwiazd”, w prezbiterium na takim kamieniu, który się tak bałtał, ksiądz biskup witał i mówił do ludzi. Przeważająco starsi ludzie, młodszy, to był dzień pracy, to ich nie było. To jeszcze był ten czas, co to takiego. Coś całkiem nowego. I wiele osób się jeszcze bało przyjść. Ale dla księdza biskupa to był taki też, obecnie kardynała Świątka, moment bardzo, bardzo taki, że do dzisiaj ten moment pamięta, tego przywitania, kiedy ludzie prawie że do nóg się schylili, tak po prawosławnemu go przywitali. I potem cały kościół ludzi, to jest taki kościół dość spory. I wszyscy, jak zwykle u nas jest tak, że przy drzwiach, na wychodzie są, a tamci wszyscy przy ołtarzu. Przy drzwiach było pusto, a wszyscy tak do prezbiterium prawie że... że tam, bo taka była troszkę mała przepychanka. Ale ten kościół został zrobiony w 1999 roku. Potem rozdzieliła się diecezja na jeszcze jedną, powstała diecezja witebska i ksiądz biskup Blin chciał dalej działać. Ja w tym czasie objeżdżałem sześć rejonów. No to tak, niedzielę miałem do przejechania około 300 kilometrów, żeby nie wszędzie być, ale co drugą niedzielę być w tych punktach.

W niektórych miejscach tylko raz w miesiącu mogłem dojechać. Potem ksiądz biskup zalecił mnie... posłał mnie do NowoŹukomla. To jest takie nowe miasteczko, powstałe dzięki budowie elektrowni ciepłej. Powstało w sumie tak na pustym miejscu, ma 43 lata obecnie. I stara kotłownia w centrum miasta, to żeśmy wykupili, z takim dużym kominem. I gdzieś tam też już jest kościół. No jeszcze potrzeba tak wykończyć to z zewnątrz, razem z plebanią, czyli cały taki kompleks. Po drodze jeszcze były Uszacze. Też ksiądz biskup chciał, żebym tam poszedł. Tam już wszystko przygotowałem, mieszkanie i tak mówię do księdza biskupa: „Księżę biskupie, to już mogę przechodzić z tego Lepiele do Uszaczy”. „No to słuchaj, to ja tam dam drugiego księdza, a ty będziesz dojeżdżał”. No tak, to się nie daje, kiedy nie ma środków, a budowa musi iść. Więc ja zawsze robiłem to swoimi rękoma. To ten czas nauczyłem się być murażem, tynkarzem, malarzem, stolarzem. Bo wszystkie meble sami robimy. Tak że prawie, że jesteśmy wystarczający. W 1995 roku do nas doszły siostry zmartwychwstanki do Lepiela. No i to tak już, najwspanialszą sprawą, kiedy w ulskiej parafii było ponad 100 dzieci do I komunii świętej. Na te tereny... na tamte tereny wschodnie, no to jest jakiś taki fenomen bardzo wielki, zadziwiający. Z takich migawek tej pracy, pamiętam, ta pierwsza kolęda, to najbardziej taka była dla mnie uderzająca. W tych wioskach ulskiej parafii, bo to w sumie tam najczęściej byłem. Bo to taka wyspa katolicka, wokół prawosławni. Zadziwiające, jak oni się tam zostali i przetrwali. W jednej miejscowości, taka pani, która prowadziła, mówi, bo ja zwykle z taką dużą obsadą ludzi chodziłem. „Księżę tam katolicy, ale ten człowiek to przeklina Pana Boga, to jeszcze księdza pobije”. No ja kiedyś trochę boksem się zajmowałem, to myślę, no zobaczymy kto kogo. Wchodzę do tego domu, normalnie przygotowani. Stół stoi jak zwykle do kolędy, nawet białym obrusem nakryty, świeczka, obrazek. Trochę porozmawialiśmy, mówię: „No widzisz, twoja żona chodzi do kaplicy, a nie może do spowiedzi, bo życie bez ślubu. Trzeba się powięczyć” [gwarą: ożenić]. No jak trzeba, to trzeba. Udzieliłem ślubu, księgę z sobą miałem, wszystko. Świadkowie też byli. Wychodzimy, ta kobieta tak podchodzi z daleka, bo się bała, żeby jej się nie oberwało. „I co, i co, i jak?”. „No jak to co? Ślub był, wesele było, a pani się tak bała”. „W imię Ojca i Syna i Ducha...”, nie wierzyła, że to tak może przejść. Czy w drugim też domu takim, żona na kolana przed mężem, „Chodź, powięczajem się” – „Nie będę”. Ta druga kobieta, trzecia, czwarta, jak nasiedły na chłopa, no to w końcu wychodzi na środek, tak mówi: „Oto więczajcie”. Ale potem i do spowiedzi, i do komunii trzeba było tak nieraz postawić pod ściankę, że niby to przymus, ale to nie przymus, ale takie dodanie odwagi człowiekowi. Potem był wdzięczny za to i żałował, że tak późno do tego dojrzał. Kiedy ta żona zmarła, to tak jakoś tragicznie to wszystko przyjął. Ma pracę, do 1995 roku ciągle mnie jakoś tak się przyjeżdżało tutaj na zaproszenie, czyli na miesiąc, na trzy miesiące i trzeba było wyjeżdżać. Ja zwykle z tym miałem problemy, bo no praca kiedy jest, to trudno wyjechać i zostawić wszystko bez mszy, bez obsługi duszpasterskiej, kiedy już troszkę ci ludzie zaczęli przyzwyczajać się do tego, że w niedzielę jest msza i powinna być i tak dalej. I stąd też ciągle miałem kary, ciągle jakieś tam milicja czy służby paszportowe przychodziły. Raz pamiętam taki, przyszedł do mnie z dwoma poniatymi, czyli świadkami i zaczyna mnie uczyć jak to trzeba być, i w ogóle tak bym powiedział bardzo niegrzecznie, a nawet bym powiedział, że po chamsku. Wstałem i powiedziałem: „Jak nie umiesz się w przyliczni, kulturalnie jakoś tak rozmawiać, to paszół won ze dwierii”. Siadł i mówi: „Ja mam żonę, ja mam dzieci, ja z roboty wylecę”. No i mówię: „Bądź człowiekiem, mów normalnie i będzie wszystko dobrze”. I z tamtego czasu zostaliśmy przyjaciółmi. Tak że teraz jak gdzieś mnie zobaczą, teraz już jest pułkownik większy taki, ale tak nieraz się uczyło ludzi takiej normalnej życzliwości nawet do tych, którzy inaczej mówią czy inaczej robią niż im jest polecane. Cóż tam jeszcze można. O właśnie o tym krzyżu może powtórzyć. Też po kolędzie w Lepielu, kolęda to taka możliwość była pierwszego lepszego zapoznania się z ludźmi, do których się jest. No po prostu ci, którzy przychodzili i do nas, do mnie adresy zo-

stawiali i wtedy tam po tych adresach się szło. Bo Lepiel to miasto 20-tysięczne i tych ludzi, no tak do kościoła pierwszych przyszło 17 osób, tylko odważniejszych. A Lepiel to też takim para-fenomenem jest, że w swoim czasie to jest jedyna parafia, która napisała do Stalina, kiedy powstała nowa konstytucja, o pozwolenie na otwarcie kościoła. Ja gdzieś tę notatkę tam widziałem i gdzieś to jest tak zanotowane. I też u jednej pani, pani mówi: „Mam dla księdza podarek”. No, troszkę zaintrygowany, jakim on jest, no wynosi przepiękną pasyjkę Chrystusa, która kiedyś zapewne była w kościele, a może jeszcze gdzieś na jakimś cmentarzu, ale dość spora. I mówi taką historię mi, że: „Moja mama kiedy umierała, prosiła bym tego Chrystusa umieścić na wysokim krzyżu, na jej mogile, aby tam ludzie mogli przychodzić i modlić się”. Bo ta babcia już zapewne nie marzyła o tym, że przyjdzie czas, że ta sytuacja się zmieni. Cmentarze to były takie miejsca enklawy wolności religijnej. Tam ludzie przychodzili, zbierali się, tam modlili się, choć też mieli wielkie szykany z tego powodu i jeśli tam robili jakieś takie kapliczki czy coś, to były one palone czy niszczone, tak, żeby w ogóle modlitwa zanikła. A te babcie były raczej ośmieszane i tak dalej. Ja oczywiście przyjąłem ten przepiękny dar, choć w kościele jeszcze były rusztowania, ale przyszedł ten czas. Było tak, już nie pamiętam w którym roku, chyba 1994 zapewne. Przeddzień Świętego Kazimierza, czyli odpustu w parafii. Wszystko już było zrobione, przygotowane, tylko umieścić ten krzyż wysoko w prezbiterium. No i tutaj nie mamy takiej drabiny, zawsze coś nie tak jest. Przedzwoniłem do straży pożarnej, takiego naszego wojska. Obiecali, że przyjadą, pomogą. Przeddzień nie przyjechali, bo jak zwykle, jak to u nas, obiecuje się jedno, a wychodzi drugie. Kiedy już wspólnota parafii, cały kościół w sumie ludzi, księży, sąsiedzi, którzy musieli przyjechać ze 100 kilometrów, bo najbliższy sąsiad miał 84 kilometry do mnie. To nie tak jak w Polsce, że dwie ulice przeszedł i jest już u sąsiada. Ale to do najbliższego sąsiada 84, 75, 100 kilometrów. I przyjeżdża ta straż pożarna, z tą długą drabiną. Ci żołnierze wyszli. Oczywiście profesjonalnie zamocowali tego Chrystusa wysoko w prezbiterium. Pod nim nowy obraz świętego Kazimierza. Ja wtedy tak sobie pomyślałem, no to teraz ludzie powiedzą, że ich ksiądz to taki nieroztropny, że wcześniej tego nie zorganizował, że to tak jakoś niesprawnie to robi. Ale kiedy popatrzyłem na ludzi, zobaczyłem i usłyszałem taki wielki, wielki szloch, płacz. To była manifestacja radości, że do tego kościoła, który był w swoim czasie elektrownią, garażem, bo nam oddawali go jako garaż, w sumie to ruinę, że tam wrócił Chrystus. Że Chrystus, którego tam niszczyli, topili, deptali, wrócił, aby im błogosławić, aby ich wspierać, aby zacząć tam mieszkać. No było to taka wspaniała sprawa. Obecnie pracuję w Głębokim od września. Poprzednie lata, czyli 17 lat pracowałem na wschodnich parafiach, tam gdzie tworzyło się wszystko od zera, gdzie ludzi się uczyło „W imię Ojca i Syna...” i w ogóle bycia w kościele, uczestniczenia w liturgii Kościoła. To tutaj Kościół trwał zawsze, zawsze byli księża. Głębokie, to jest parafia taka jedna chyba z mocniejszych w naszej diecezji, większych. W niedzielę do kościoła przychodzi zapewne więcej niż tysiąc osób. Jest to taka tradycyjna, bym powiedział, polsko-białoruska parafia ze swoimi już ugruntowanymi strukturami i jakimś takim charakterem.

**Anna Pietraszek:** A gdzie ksiądz był, kiedy był stan wojenny w Polsce?

**Mieczysław Janczyszyn:** W seminarium, byłem na pierwszym roku w seminarium i pamiętam, kiedy 13. ogłosili stan wojenny, my jako pierwszy rok wyszliśmy z inicjatywą takiej całonocnej adoracji w intencji Polski. Całe seminarium wrocławskie, to było duże, około 300 kleryków i my, pierwszy rok, żeśmy wyszliśmy z taką inicjatywą modlitwy. Tutaj też miałem taki fajny przykład, jak była Solidarność, a tutaj, kiedy rozpadał się Związek Radziecki, ja przyjechałem jeszcze do Związku Radzieckiego, na granicy pisze się, gdzie jedziesz. Cep, cepa, cepem pogania, czyli SSSR. Ja tak

przez przypadek napisałem BiałoRuś, pogranicznik mówi: „Wykreśl, nie ma takiego państwa, pisz SSSR”. Akurat w tym czasie ja wyjeżdżałem, bo tu ciągle musiałem wyjeżdżać ze względu na te problemy paszportowe, zaproszenia i tak dalej. Przyjeżdżam już po dwóch tygodniach, kiedy te przemiany zaszły, no i piszę tak, jak on mi powiedział, SSSR. Znowu, zapewne już drugi. Mówi: „Wykreśl, nie ma takiego państwa, pisz BiałoRuś”. Dla mnie to takie było ciekawe. Wtedy w Polsce byłem, brat, mówi: „Słuchaj, tam przewrót, tam wojna. Nie jedź. Gdzie będziesz jechał? Poczekaj, zobaczymy, co dalej będzie”. No ale ja wtedy już nie mogłem zostać w Polsce i musiałem wracać do swoich. Już 18 lat jestem na BiałoRusi i myślę o powrocie do Polski, ale chyba na tyle już wsiąknę, że obecnie to będzie bardzo trudno uczynić. Myślę już prawie, że po białoRusku, choć mój akcent jeszcze zdradza mnie, że jestem Polakiem, ale tak... Jestem jednym ze starszych księży. W 2000 roku zostałem prałatem, potem też kanonikiem gremialnym kapituły witebskiej. W Lepielu byłem dziekanem, tutaj też jestem dziekanem. W 2000 roku też otrzymałem medal od pana Łukaszenki za tę pracę tutaj.

**Anna Pietraszek:** W którym?

**Mieczysław Janczyszyn:** W 2000. Tak samo.